

Thomasina



*Paul Gallico*

# Thomasina

O KOTCE, KTÓRA MYŚLAŁA,  
ŻE JEST BOGIEM

PRZEŁOŻYŁA

*Anna Bańkowska*

**KROPKA**

*Dla Virginii*

TYTUŁ ORYGINAŁU *Thomasina*

COPYRIGHT © Mathemata Anstalt, 1957

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Anna Bańkowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Kropka,

Warszawa 2022

## Rozdział I

...w którym poznajemy  
rudego weterynarza  
i jego klientelę

W hrabstwie Argyll nie ma miasta o nazwie Inveranoch. Podobnie jak ludzie opisani w tej książce, jest ono wytworem wyobraźni.

P.G.

Pan Andrew MacDhui, chirurg weterynaryjny, wytknął swoją krzaczastą brodę w kolorze cegieł przez drzwi poczekalni przy ambulatorium, ogarniając zimnym, nienawistnym spojrzeniem klientów, którzy ze swymi ulubieńcami na kolanach albo u stóp czekali na twardych, sosnowych krzesłach.

Willie Bannock, jego energiczny pomocnik w przychodni, sali operacyjnej, biurze i szpitaliku dla zwierząt, już wcześniej przedstawił panu MacDhuiemu listę obecnych. Widniało na niej nazwisko jego przyjaciela i sąsiada, pastora Angusa Peddiego. Przybył on tu oczywiście ze swoim uprzykrzonym mopsem, którego kłopoty gastryczne wynikały z nadmiernej dogadzania i karmienia zakazanymi słodyczami. Kiedy pan MacDhui zerknął na kolana krótkonogiego, okrągłego duchownego, jego oko uchwyciło na chwilę spojrzenie

wyraźnie cierpiącego psiaka, w którego mętnych oczach pojawiło się jednak coś w rodzaju nadziei na poprawę samopoczucia. Zwierzę nauczyło się już, że to miejsce, razem z charakterystycznymi zapachami i potężnie zbudowanym gospodarzem z futrem na twarzy, zwiastuje szybką ulgę.

Weterynarz oderwał wzrok od hipnotycznego spojrzenia i pomyślał ze złością, że Peddie mógłby wreszcie posłuchać fachowych porad dietetycznych i przestać marnować jego czas. W poczekalni siedziała też żona bogatego budowniczego z Glasgow, przebywająca tu na wakacjach ze swoim zreumatyzowanym yorkiem – rasy, której Andrew szczególnie nie znosił – ze śmieszoną aksamitną kokardką na czubku głowy. I jeszcze pani Kinloch, zakochana po uszy w swoim syjamskim kocie, który leżał na jej kolanach, potrząsając od czasu do czasu głową i skarżąc się na coś chrapliwym głosem. A także pan Dobbie, sklepikarz, o długim, smętnym obliczu, zadziwiająco podobnym do jego szkockiego teriera cierpiącego na parchy – być może bardziej przydałaby mu się wizyta u tapicera niż u weterynarza.

Wśród kilku pozostałych osób znajdował się jeszcze mały chłopiec, którego pan MacDhui gdzieś już widział, a na czele kolejki rozpoznał starą, otyłą panią Laggan, właścicielkę kiosku z gazetami i wyrobami tytoniowymi. Jej

opierający się wszelkim opisom kundel Rabbie o posiwiąłym pysku i kaprawych ślepiach był stałym elementem krajobrazu Inveranoch.

Siedemdziesięcioletnia pani Laggan, od ćwierć wieku wdowa, miała przez ostatnich piętnaście lat za jedyne go towarzysza właśnie tego psa, którego cielsko rozwalone na progu kiosku stanowiło dla stałych mieszkańców i gości górskiego miasteczka coś tak oczywistego jak szal w tureckie wzory na ramionach grubej wdowy. Ponieważ Rabbie wyraźnie uważał ów próg za swoje miejsce na ziemi i leżał tam zawsze z pyskiem między łapami i wzrokiem skierowanym ku górze, klienci pani Laggan po prostu przechodzili nad Rabbie, wysoko podnosząc nogi. Na High Street mówiono nawet, że potomkowie tych klientów rodzili się już z predyspozycją do takiego odruchu.

Pan MacDhui przesunął wzrokiem po swoich pacjentach, ci zaś obrzucili go spojrzeniami o różnych stopniach niepokoju, nadziei i rezygnacji. Kilku z nich jednak wyraźnie odwzajemniało wrogość, która aż biła z rysów jego twarzy – wysokiego czoła, rudych kępek brwi, władczych niebieskich oczu, wydatnego nosa, pełnych, czasem drwiąco wykrzywionych ust, ledwie widocznych spod szczeciny rudych wąsów i brody oraz agresywnie wysuniętego podbródka.

Oczy, a nade wszystko sposób bycia weterynarza zawsze wyrażały zimną złość, być może dlatego, że jak mówiono w Inveranoch, był on z natury zimnym i agresywnym człowiekiem.

W takim górskim miasteczku jak Inveranoch w hrabstwie Argyll, gdzie praktykował zaledwie od półtora roku, wdowiec olbrzymiego wzrostu i takiej samej ekstrawagancji siłą rzeczy stanowił obiekt nieustających plotek. Ze względu na swój zawód był tam dość ważną postacią, gdyż nie tylko obejmował opieką domowe zwierzęta mieszkańców, lecz także odpowiadał za zdrowie inwentarza żywego na okolicznych farmach – bydła rasy angus, owiec o czarnych pyskach, świń i drobiu. W dodatku mianowano go głównym weterynarzem okręgu z uprawnieniami do kontroli mięsa, mleka i higieny w wytwórniach nabiału.

Plotkarze przyznawali, że Andrew MacDhui to uczciwy, bezpośredni człowiek z zasadami, ale – zgodnie z opinią osób wysoce religijnych – dziwak, który mając do czynienia z bożymi, niemymi stworzeniami, nie przejawiał ani krztyny miłości do zwierząt, bardzo niewiele do ludzi, za Bogiem zaś ani nie przepadał, ani nie miał dla Niego czasu. Wierzył czy nie – jak wielu utrzymywało – z pewnością nikt go nigdy nie widział w kościele, chociaż przyjaźnił się

z pastorem Peddiem. Inni twierdzili, że serce MacDhuiego zamieniło się w kamień po śmierci żony i został w nim tylko jeden czuły kącik, w którym królowała jego siedmioletnia córka Mary Ruadh, widywana zawsze w towarzystwie tej cuchnącej rudej kotki Thomasiny.

Ale uwaga: nikt nigdy nie przeczył, że pan MacDhui to naprawdę dobry i skuteczny lekarz. Decyzję „leczyć czy uśmiercić” podejmował szybko, chociaż w obiegowej opinii nieco zbyt pochopnie sięgał po szmatkę z chloroformem. Zwolennicy uważali go za człowieka o humanitarnych zasadach, który nie może patrzeć na niepotrzebne cierpienie nieuleczalnie chorego zwierzęcia; przeciwnicy, którzy nie lubili ani jego samego, ani jego arbitralnych metod, twierdzili, że jest okrutnikiem mającym za nic życie zwierzęcia i jawnie gardzącym uczuciami ludzi do ich czworonożnych pupilów.

Natomiast wielu spośród tych, którzy nie zetknęli się z panem Mac Dhuim na gruncie jego profesji, przychyliło się do zdania, że jeśli ktoś darzy przyjaźnią i szacunkiem Angus Peddiego, pasterza prezbiteriańskiej trzódki z Inveranoch, to musi być w nim przecież coś dobrego. Mówiło się, że to właśnie pastor, który znał MacDhuiego od czasów studenckich, odegrał kluczową rolę w przekonaniu go po